

Zygodnik

3 Listopada

45.

1819.

Szczęśliwy kto wdzięk wraz z pożytkiem złączył!

KRASICKI.

FLIBUSTJER.

Powieść z drugiej połowy Siedmnastego

Wieku. ()*

Słońce zapadło w Oceanie, niknące promienie złożyły jeszcze spienioną głębinę i wysokie lasy Hispanioli, gdy Montbars przybiwszy do wysepki Bajaha, spogodał z brzegu za łódkę co go przywiozła.

(*) a potężniejsi w *Wiek* Siedmnastym rozbójnicy morscy zuli się Flibustjerami. Zostawali pod opieką Króla Angielskiego i najwięcej się przyłożyli do zwalania potęgi Hiszpanów w nowym

Tom IV.

Długo tak ścigał ję okiem, dopóki lekki statek nie zniknął w ognistym horyzoncie. Sam więc pozostał, wzdrygnął się mimowolnie, lecz wkrótce zrzuciwszy z siebie płonny przestרח, ruszył naznaczoną drogę. Zwawo uszedł dobrą godzinę, gdy pod skałę ujrzał leżącego na mchu strzelca odrażającej postawy. Szeroki okrągły kapelusz okrywał siwe włosy, które bez ładu nad zmarszczoną twarzą powiewały. Zgrzebny płaszcz krwią ubitych zwierząt zbryzgany i trzewiki z surowej skóry nieosobliwie go zdobiły. Na rzemiennym pasie wisiąto kilka nożów i krótka szabla; obok leżała ogromna strzelba, w koło biegały potężne brytany, które ujrzawszy nieznanomego rzuciły się ku niemu z przeraźliwym wyciem. „Zawołaj psów bo ich porębie!” — krzyknął *Montbars* dobywając pałasza. Gwiznął starzec, a natychmiast zajadła gromada, uciszyła się przy jego nogach. „Powiedz mi przyjacielu — rzekł da-

świecie. Jednego prawie z nimi rzemiosła byli Bukajczycy. Flibustjerowie składali się najwięcej z Francuzów i Anglików, i gdyby ich wcześniej nie rozproszono, byłiby zapewne utworzyli osobny i możny naród. Obraz, przypominający Flibustjerów, znajdujemy w północnych dziejach na Kozakach, co niegdyś na słabych łódkach gnębili Turków, i samemu Konstantynopolowi zagrażali.

lej *Montbars* gdzie przebywa *Bukańczyk Montauban*.”
 „To imię — odpowiedział starzec — leży gdzieś na dnie
 morskiem. Pierwszy nabój na tej wyspie przybi-
 łem moją metrykę. Teraz zwę się *Taureau*.” „Tyś
 to więc jesteś?” rzekł młodzieniec z nienajradośniej-
 szem podziwieniem. „Tak jest mój młody paniczu,
 jeśli niemasz nic przeciwko temu” — odpowiedział
 starzec z przekąsem, i od stóp do głów go zmierzył.
 „Witam Cię więc Panie Wuju. Jestem *Montbars*,
 syn Twojej siostry.” „Doprawdy — krzyknął sta-
 ry tłumiąc nagle wzruszenie które się na twarzy je-
 go malowało — Witam Cię więc przyjacielu. Sia-
 daj przymnie. Bardzo mi się podobasz. Poznają na
 twarzy twojej siłę ojca i piękność matki; ale jak się
 też ma głowa i serce? Nikczemną duszę w pięknym
 ciele porównywan do Zebry, gdzie pod skórą ty-
 grysa, osioł się kryje.” „Niespodziewałem się żebyś
 ci miał wstyd robić” — zawołał *Montbars*, por-
 wał się z miejsca, a ogień gniewu i wstydu, zapło-
 nął na pięknej jego twarzy. „Zupełnie jak ojciec —
 rzekł *Taureau*. — Chciałem cię tylko doświadczyć.
 Mocno mnie to cieszy. Siadaj więc i nie gniewaj się.
 Przykre słówko od wuja, nie maże twego honoru.
 Ale teraz pomówmy z sobą poufale. Powiedz mi,
 po co tu przybyłeś do wysp Antylskich?” „Jść w
 ślady ojca, zemścić się za śmierć jego — zawołał
Montbars w dzikim zapale — krwią Hiszpanów ob-
 myć te łzy, które mi okrutna śmierć matki wyci-

snęła i zemścić się za miliony Indian, których chciwość złota, i piekielny Fanatyzm wygubił” ; Starą to piosenka — rzekł *Taureau*. — Już dawno ją słyszę, ale coraz bardziej mi się niepodoba. Zaśpiewał ją i twój ojciec potężnym głosem, aż okna w Królewskim zamku w Madrycie zadrżały. Stał się postrachem Hiszpanów, imię jego sławne jest na tych morzach; Gnębicielem zowie go nieprzyjaciół, jednakże ta cała sława nie stłumiła w nim głosu obrażonego sumienia. Tak synu, kto na wzór powietrza i głodu chce zostać biczem bożym, tego serce nie będzie nigdy spokojne, choćby było zatwardzone w piekielnych płomieniach. Chcesz więc koniecznie zostać Flibustjerem? „Tak jest — odpowiedział *Montbars* — po to przybyłem na Antyllę, i nie spodziewałem się ażebyś mi to odradzał, wszakże wy *Bukańczykowie* jesteście nieprzyjaciółmi Hiszpanów, i ściśle połączonymi z Flibustjerami?” „Prawda — odpowiedział Starzec — nigdy jednak nie znazaliśmy ręk naszych. Ale dość na tem. Słońce już dawno zapadło, idźmy do domu.” I powstał, i z milczącą powagą prowadził siostrzeńca w gęstwinę.

Po długiej podróży przybył na otwarte miejsce które księżyc oświecał. Z radośnem wyciem skoczyła naprzeciwko nich zgraja brytanów, a oko *Montbarsa* szukające jakiego mięszkania, natrafiło tylko

ko na proste baraki, co ledwo z wierzchu osłonię-
 a na cztery boki odkryte, nie obiecywały przyje-
 anego schronienia. „Dajcie mi co jeść — zawołał
Taureau na kilku służących co się zajmowali roz-
 ciągnięciem skór i soleniem mięsa. Natychmiast przy-
 niesiono wędzoną ćwierć wołu, i położono na
 pniu zwalonego cedru. Drzewo obok leżące posłu-
 żyło za krzesółka. Usiadł *Montbars*, wziął nóż do
 ręki, i spojrzał na wuja, jak gdyby mu czegoś
 brakowało. „Czy ci jeszcze czego potrzeba?
 — uśmiechając się rzekł *Taureau* — ale zgaduję.
 Wieczera moja nie jest najwykwintniejsza. Tak do-
 bry przyjacielu, ani tu myśl o przysmakach ani o
 winie.” „Umiem się obejść bez tego wszystkiego
 — odpowiedział *Montbars* obrażony tym wyrzu-
 tem — woda gasi pragnienie, ale kawałek chleba
 zdalby się przy mięsie.” „Żałuję, że i tem służyć
 niemogę, — mówił wuj z uśmiechem — chleb nale-
 ży do potrzeb zbytłowych, których się wyrzekli-
 śmy. Ale poczekaj do jutra. W *Tortuga*, znajdziesz
 wszystko czego możesz zapragnąć. Teraz zaś idź się
 wypij, żebyś jutro był żwawy na polowaniu.”
 Wstał *Taureau* i zaprowadził siostrzeńca do jednej
 z barak, gdzie rozciągnięta skóra z dzika gościnnie
 na niego czekała. Niechętnie rzucił się *Montbars* na
 niezwyčajne posłanie, ale znużony dziennemi przy-
 godami zasnął wkrótce, pośród chrapiących bryta-
 nów, i przy dalekim krzyku nocnej sowy.

Jeszcze nie zupełnie świtało, jeszcze noc okrywała lasy Bukanu, gdy wszystko ruszać się zaczęło. Służący ładowali strzelby, psy podnosiły się i wyścięły silne członki, *Taureau* przyszedł budzić siostrzeńca. Krótkim snem wzmocniony, porwał się *Montbars* i wyszedł z baraki. Zagrzmiały trąby, podniósł się okrzyk myśliwych, zawyła zgraja brytanów, i z okropną wrzawą rozpoczęto polowanie. Długo szli w gęstwiny, nim pierwszy blask pokazał się na wschodzie. W ten czas zatrzymał się orszak, *Taureau* rozstawił strzelców, siostrzeńca zatrzymał przy swoim boku. Wkrótce zaczęły trzeszczeć gałęzie, usłyszano głuche ryczenie; i pędzony od brytanów z pośród gęstwiny wypadł gwałtownie byk dziki. Spokojnie czekał go *Taureau*, i blisko przypuściwszy do siebie, zwałił dwoma kulami potężnego zwierza.

Służący wznieśli radośne okrzyki, i rzucili się na piękną zdobycz. „Zarobiliśmy śniadanie” — rzekł ochotczo *Taureau*; i na dane przez niego skinienie, podali mu służący kość z uda wyjętą. „Czy chcesz się ze mną podzielić?” rzekł dzielny starzec do siostrzeńca, wysysając świeży szpik z skrwawionej kości.” Ze zgrozą odwrócił się *Montbars*, wtem dziki okrzyk podniósł się w lesie, i trzech Bukańczykowie ranami okryci, przypadli do myśliwych. „Dość tego polowania na dzisiaj — krzyknął jeden — zapraszam was na polowanie na ludzi. Hiszpanie

porwali pięciu naszych, i prowadzą ich nad brzegiem. Taureau! twój majtek jest także wzięty!”

„Co! Mój Henryk!” krzyknął starzec nabijając swoją strzelbę. Otrębiono się na psów; w milczeniu ruszyli Bukańczykowie ku brzegom morskim, gdzie statek Hiszpański stał pod żaglami. Tam ukryci po za skały, czekali na Hiszpanów, którzy wkrótce wyszli z lasu. Na ich czele postępował młody *Don* szlachetnej postaci; niewolników Bukańskich trzymano we środku. Pięć razy liczniejsi byli Hiszpanie od garstki której *Taureau* przywodził, ale za jego znakiem dali ognia mężczyźni towarzysze, a żaden strzał nie był daremny. Natychmiast z jednej strony puszczono Brytanów, z drugiej sami Bukańczykowie z pałaszem w ręku uderzyli na zmieszanych nieprzyjaciół. Krótka trwała walka. Oswobodzono zabranych jeńców, Hiszpanie częścią zostali trupami nadbrzeża, częścią schronili się na statek. Ale sam wódz gardząc ucieczką nie cofnął kroku, oparł się o drzewo kokosowe, a ranną lewą ręką w płaszcz zawinąwszy, bronił się z męstwem nieustraszonem. Z wściekłością miotali się na niego Bukańczykowie, ale długa jego szpada w ręcznych ognistych kołach, warcząc wręku młodego bohatera, odpychała wszelkie razy. Wreście jednemu z nacierających brakło cierpliwości. Odskoczył, nabił broń i przymierzył.

Wcześniej jeszcze spostrzegł *Montbars* niebezpieczeństwo grożące śmiałemu przeciwnikowi; rycerska szlachetność obudziła się w jego duszy, rzucił się naprzeciw celującemu „Stój!” zwołał na niego, ale daremnie; zażarty *Bukańczyk* uchylił się na bok i znowu przymierzył. „Rozsiekam cię jeżeli strzelisz” — krzyknął *Montbars*. Na ten głos oderwał się *Taureau* od oswobodzonego *Henryka*, którego się niemógł naściskać, wstrzymał chciwego krwi *Bukańczyka*, i rozkazał Hiszpanowi broń złożyć. „Nigdy!” — zawołał mężny młodzieniec, i upływem krwi straciwszy siły, upadł na ziemię. Przy nim uklęknął *Montbars* i opatrzył cięższe rany. *Taureau* z radością spoglądał na siostrzeńca, Hiszpan otworzył powieki, rzucił okiem na swego obrońcę. „Ktokolwiek jesteś — rzekł — odwieź mnie do Hiszpanii, a możesz być pewny bogatego wykupu.” „Nie walczyliśmy o złoto, ale o wolność naszych braci” — rzekł *Taureau*. „Ja go na rękach zaniosę aż do *Bukanu*” — odezwał się *Montbars* z młodzieńczą ochotą. „Nie, mój synu — odpowiedział *Taureau* — tamby nieuszędł śmierci. Patrz! Oto leżą bez duszy dwaj *Bukańczykowie*, nieznasz naszych praw odwetu. Na Hiszpanii tylko może być bezpiecznym tam go odesłamy.” Poszukano lekkiego statku. Wkrótce dwóch rybaków podjęto się przewieść ranego do Hiszpanii. *Montbars* sam go zanosił do łodzi, i natychmiast wrócił do swoich żeby uniknąć

jego podziękowania. Z rzewnością ścisnął starzec młodzieńca za rękę: „Idź synu, idź do Flibustjerów — rzekł do niego — wiem że i między nimi nie przestaniesz być człowiekiem.”

Dzika ochota rozpuszczonej zgrai, rozlegała się po wyspie *Tortuga*, gdy do niej wylądował *Taureau* i *Montbars* z znacznym zapasem skór z ubitych zwierząt. Sławny wódz rozbójników morskich *Horn*, dopiero co zdobył okręt Hiszpański złotem i srebrem ładowny, a szalone jego Flibustjery z jakim zapalem rzuciły się na obce dobro, z takim nabyte skarby trwonily. Wstręt mimowolny napęlił szlachetnego *Montbara*, gdy się bliżej przypatrzył i rozwiozłym tłumom. Tu około ogromnej beczki z której czop wyrzucono, leżało pijane koło; nieustannie płynął drogi napój w podstawiane kielichy, które równie prędko wypróżniać, jak napełniać musiało. Dalej warczały kostki o niesłychane zakłady, które w jednej chwili nowego *Krezusa* mieniły w żebraka. Tam z kobietami wszelkiego koloru kręciły się Flibustjery w szalonym tańcu, obok nich w niem rozmarzeni wszczynali śmiertelny pojedynek; indziej dla dopełnienia dziwaczego obrazu, zbierały się tłumy pokutników, co bosemi nogami odnosi do najbliższej Świątyni, naczynia kościelne Hiszpanom wydarte, i krwią ich jeszcze złane.

Oślupiał *Montbars* wszedłszy pomiędzy tę zgrai

ję, gdy nowa okropność wzbudziła odurzoną uwagę. Na skrzydłach bojaźni niesiona, przebiegła koło niego czarna dziewczyna. Ukłękła na skale sterzącej nad morzem: „Najświętsza Panno — tak się modliła załamując ręce — prosz za mnie o przebaczenie, że idę do ojca pierwej, niżeli mnie powołał; że nieusprawiedliwiona świętym obrzędem, przenoszę śmierć nad ochydę.” Już miała się rzucić w bezdenną przepaść, gdy ją *Montbars* szczęśliwie zatrzymał. „Nieszczęśliwa, co chciałaś uczynić?” zawołał, a na jego widok, promień nadziei rozjaśnił twarz rozpaczającej. „Ah to jest głos człowieka — rzekła — Ale czyliś mnie dla tego tylko od samobójstwa zachował, żebym została ofiarą dzikości twoich współbraci?” „Nie, nigdy!” zawołał *Montbars*, i śmiało obejrzał się na nieprzyjaciół przeciwko którym miał jej bronić. „Oto idę, idę! — krzyknęła czarna. — Teraz dotrzymaj słowa szlachetny mężu, albo sam wepchnij mnie w morze, żebym przynajmniej z ręki człowieka zginęła.” Do był miecza *Montbars*, a trzech *Flibustjerów* winem rozmarzonych, zbliżyło się do niego.

„Oto jest czarna *Donna*” — rzekł jeden. — „Schodź z tej skały — wołał drugi — do mnie do mnie moja luba.” Trzeci z nich i najzuchwalszy: „Młodziku! — tak pogroził *Montbarowi* — Ta dziewczyna należy do nas trzech; nie życzę z nas żarto-

wać.” „Ta dziewczyna — odpowiedział *Montbars* z zimną odwagą — uciekła się pod moją opiekę; kto ją chce porwać, temu palaszem odpowiem.” „My i tem potrafiemy usłużyć.” — krzyknęli zbójcy i natychmiast trzy palasze uderzyły na *Montbara*, który jak lew im się bronił. Już jedną ranę odniósł był z ręk zagorzałych rozbójników, gdy się za nim odezwał głos rozkazujący: „Precz nikczemni!” i z dobytym mieczem rycerz postaci wspamiętałej stanął między walczącemi. Nad czapkę axamitną, perłami ozdobną, pływało wielkie pióro strusia, djamenty błyszcząły na całym ubiorze. „Admirał!” zawolali jednym głosem Flibustjery, cofnęli się, i schowali palasze. „Trzech na jednego! — krzyknął *van Horn* gniewnym głosem. — I wy śmiecie się nazywać Flibustjerami.” „Na naszej stronie jest sprawiedliwość — rzekł rozbójnik który najpierwszy się ośmielił. — Zdobyliśmy tę dziewczynę na nieprzyjacielskim okręcie. Los miał oznaczyć do kogo będzie należała; rzuciliśmy piaster do góry, gdy nam uciekła, a ten dzieciuch co nawet nie jest naszym bratem chciał ją nam wydrzeć. Słuszny gniew wziął górę nad nami.” „Ta dziewczyna chciała wrzucić się w morze, żeby ujsć przed temi potworami — rzekł *Montbars* z szlachetnem wzruszeniem. — Zatrzymałem ją nad przepaścią. Życie chciałem poświęcić dla obrony jej honoru, przeto sądz nas łaskawie Panie Admirale. Spodziewam się, że ten który

zna tak dobrze powinności rycerskie, wie zapewne co winni jesteśmy płci słabszej." Z upodobaniem spojrział van *Horn* na *Montbara*. „Za śmiało może — rzekł z uśmiechem — ale to mi się podoba. Kto jesteś młodzieńcze?" — „*Montbars*." — „Jak to? Syn Gnębicielea?" — zapytał *Horn* z radosnem uniesieniem. „Tak jest Admirale. To mój siostrzeniec" — odpowiedział za niego *Taureau*, który z dobytym pałaszem na pomoc *Montbara* nadbiegł. „Młody rycerzu robisz zaszczyt ojcu i wujowi — rzekł van *Horn* podając mu rękę; potem obrócił się do rozbójników: — Podług praw naszych należą niewolnicy do powszechnego podziału, a mnie Admiralewi służy wybór trzech głów. Wybieram tę dziewczynę i daruję ją temu młodzieńcowi. Rzuciliście się na to co nie było waszą własnością, i jak nikczemni zbójcy trzech na jednego napadli. Przeto oddajcie pałasze, i idźcie do aresztu na okręty."

Piekielny ogień tlał w oczach złoczyńców, jak wilki spojrzeli po sobie, i stali nieporuszeni. „Słuchacie czy nie?" krzyknął van *Horn* i z powagą przystąpił do nich. Dwóch zbladło i odeszło, trzeci niebył panem swej wściekłości, i strzelił z krucicy do dziewczyny która zemdlona oparła się na łonie *Montbara*. Kula świsnęła koło jej głowy, a *Horn* silnem uderzeniem powalił zbójcę na ziemię." Teraz niepójdźcie do okrętów, — zawołał na drugich —

Ty, weźmiesz tego nikczemnika, i zaprowadzisz do tego lasku. Twoja głowa odpowie mi za niego. Ty, zawołasz Sędziego flotty i przysięgłych na publiczne posiedzenie, potem sam staniesz przed ich sądem." W milczeniu, wyższą siłę uznając, słuchali go zbórcy, a z uniesieniem *Montbars* przycisnęła Admirala do serca. „Dobrze, mój miły przyjacielu — rzekł *Horn* — wiele mi czynisz zaszczytu, jeżeli rozumiesz żem to dla ciebie uczynił, co mi porządek uczynić kazał. Ludzie okrętowi strasznie mi zdziwili, bo już dawno żadnego rozstrzelać niekazałem. Cieszę się z tego wypadku, bo mi daje sposobność użycia w całej zupełności mojej władzy. Za godzinę staw się na sądach, a zobaczysz że umiem sprawiedliwość wymierzać!" — „Gdzież teraz podziejemy tę biedną dziewczynę?" — zapytał *Montbars* wuj. „Pocóżes ten niepotrzebny ciężar wziął na siebie — oburzył się *Taureau* — Ledwoś stanął na tej ziemi, już ci się przywiózłaś do dziewczyny. Niezdasz ty się na *Bukańczyka*." „Łaj wuju, ale radź." — prosił go *Montbars*. „Więc zaprowadź ją do mojego namiotu. — rzekł *Taureau*. — Tam mięszka mój dawny przyjaciel Kapitan *Brodely*, niegdyś śmiały łowiec dzikich byków, i przez siedm lat mój pomocnik. Niedawno czart go pokusił do *Flibustjerow*; wreszcie oszalał i ożenił się. Teraz dopiero pokazał mi swoją żonę, która mi się zdaje rozsądną kobietą. Jej powierzemy tę dziewczynę." „Czy przystajesz na to?"

zapytał jej Montbars. „Niemam w czem wybierać, kiedy memu obrońcy tak się podoba.” — zawołała z uniesieniem wdzięczności, i przycisnęła do ust swoich jego rękę. Przeciwnemi uczuciami miotany, odwrócił się od niej Montbars i zaprowadził ją do namiotu Kapitana *Brodely*.

— Głucho rozlegał się bęben wzywający przed straszny Trybunał. Ze wszystkich okrętów van *Horna* zbierały się Flibustjery do lasku, gdzie trzech drżących rozbójników losu swojego czekało. Sędzia floty, stary rozbójnik z siwą brodą wstąpił na krzesło, koło niego stanęli przysięgli; ale w ostatniej walce czterech z nich zginęło. Wybór całej Floty dopełnił należytej liczby, i z wielkiem podziwieniem *Montbara* installowano kandydatów z należytą powagą, i religijną uroczystością. Protestanci na Biblii, katolicy na Krucyfixie kładli mordercze dłonie. Krótka modlitwa którą Sędzia przystojnie odmówił otworzyła posiedzenie, a z głową głową odpowiedział cały motłoch Amen.”

Pijaństwo, nieposłuszeństwo, gry, kłótnie, bitwy, złe utrzymanie broni, wszystko było rozważone i karane, nareście przyszła kolej na trzech złoczyńców których przywołano przed kratki. Inkwizycja była straszliwie zwięzłą. Murzynkę przysędzono Admirałowi, o nich zaś Sędzia dał zdanie, iż wszyscy, jako przywłaszczyciele powszechnego dobra, a jeden jako buntownik przeciw Admirałowi u-

karanym być winien. Cicho naradzali się przysięgli, wreszcie wyrzekli przeciw oskarżonym. „Przebacz Admirale!” — prosił *Montbars* *Horna* który z zimną spokojnością wyszedł na środek. „Nieznasz się na tem — rzekł *Horn* lekko odpychając *Montbara* i zawołał trzech oficerów. Z uszanowaniem przybliżyli się do niego, otrzymali tajemne rozkazy, i natychmiast każdy porwał jednego z winnych. „Na miłość Boską Panie Admirale — zawołał *Montbars* — Co kazałeś z nimi zrobić?” „Dwaj pierwsi będą maronowani.” — odpowiedział zimno *Horn*. „Co to znaczy?” zawołał zadziwiony młodzieniec.” To znaczy, iż opatrzymy ich w strzelby i naboje, i odeślemy na dziką wyspę.” „Ale trzeci” zapytał się dalej *Montbars*, i oniemiał zgrozą przejęty, usłyszawszy razem kilka wystrzałów. „Słyszysz co z trzecim zrobiono” — odpowiedział *Horn* z największą obojętnością, i kazał na wszystkich okrętach modlić się za duszę nieboszczyka. W milczeniu modlili się zbójcy. „Skończyły się sądy — zawołał Admirał — Idźcież teraz na wasze miejsca i sprawujcie się przyzwoicie, żeby szalona namiętność nie oddała was w ręce zimnej śmierci. Słyszeliście jak dopiero szczęknęła miedziana waga sprawiedliwości. Pomnijcież że *van Horn* nie da z siebie żartować.” Z uszanowaniem rozproszyło się zgromadzenie. Admirał zaprosił *Montbara* na obiad; z tajemnym przestrawieniem obiecał się *Montbars*, tym-

czasem pobiegł do uwolnionej przez siebie dziewczyny.

Przed namiotem przyjęła go żona Kapitana *Brodely*. „Chcesz się widzieć z młodą murzynką Panie *Montbars*? — rzekła do niego. — Będiesz w niej zapewne szanował niewinność i nieszczęście. Ułożenie jej wydaje osobę jak najlepiej wychowaną, i sama pojąć nie mogę, skąd piękna jej twarzyczka, tym brzydkim czarnym kolorem jest powleczonea.” To mówiąc przyprowadziła młodzieńca aż do ściany płóciennej która ich od nieznanym oddzielała. „Modli się” — rzekł *Montbars* — i sztyletem przebił ścianę, żeby się jej lepiej przypatrzeć. Przed Krucifixem klęczała murzynka, łzy płynęły po czarnej twarzy, na której *Montbars* z wielkiem podziwieniem, nie widział żadnego znaku pokolenia Afrykańskiego. Równo z wysokim czołem zaczynał się nos najkształtniejszy, małe różowe usta, nie miały nic wspólnego z wydętymi wargami murzynów. Nie kręta wółna, ale długie włosy spadały z głowy, wzrost jej piękny, kibić kształtna, tylko zęby białe od pereł, mogły należeć do murzynki. Długo spoglądał na nią *Montbars*. Coraz mocniej biło jego serce, coraz chciwiej lepiły się oczy na piękną nieznaną. Nie mógł się dłużej przewyciężyć, i wszedł do niej. „Mój wybawca!” — zawołała i rzuciła się na jego szwję. Uczuł *Montbars*, że prócz wdzięczności, mocniejsze zapala ją uczucie, ale se-

mo to zaufanie z jakim się oddała w jego ręce, dodało mu stałości. Lekko odsunął ją od siebie. „Uratowałem cię — rzekł — Jesteś już bezpieczną, ale rozkaż sama, komu chcesz, żebym cię wydał.” „O gdyby wybór odemnie samej zależał — zawołała, ze łzami w oczach spoglądając na niego, — los mój byłby już rozstrzygnięty. Ale miłość ku rodzicom, ale honor szlacheckiego rodu, każe mi wyrzec się szczęścia. Kolor mej twarzy jest udany, przybrałam go dla zabezpieczenia się przed rozbójnikami którzy nasz okręt zdobyli. Proszę cię więc odeślij mnie do San-Domingo. Gubernator hojnie tam cię, — będzie nagrodził.” „Nie! Niechcę znać Hiszpanów, a ni krwawego ich złota, — krzyknął z gniewem syn Gnębiciela. — Broniłem cię dla ciebie samej, ty mnie tylko możesz nagrodzić.” Skoczyła piękna *Donna*, przycisnęła go do serca, ale wkrótce oderwała się od niego, zakryła twarz zapłonioną, i dała mu znak żeby wyszedł. „Dotrzymam ci słowa — rzekł Montbars przy odejściu — ale żebym miał dość stałości, już się z tobą widzieć nie będę.”

Dopiero w przyległym namiocie, gdzie *Taureau* i *Brodeley* swobodnie kieliszkiem się bawili, przyszedł Montbars do siebie, a dotrzymanie danego słowa, było pierwszym jego staraniem. Prosił *Brodeleya* o mały statek któryby przewiózł murzynkę do San Domingo. Nieprzyjaciel kobiet *Taureau* poparł tę prośbę, zezwolił na nią *Brodeley*, a Montbars za-

klęwszy na wszelkie obowiązki sternika co miał przewieźć ten drogi ciężar, poszedł zatopiony w myślach do portu, gdzie flotta *Horna* stała na kotwicach. Huk armat, głośnie okrzyki, paradne ubiory na wszystkich Flibustjerach, zapowiadały coś nadzwyczajnego. „Co to znaczy?” — zapytał Montbars żołnierza który przy zdobytych łupach stał na warcie. „Jak to? czyż tego nie wiesz, — rzekł Flibustjer — Wielki *Morgan* przybył, i jest na okręcie naszego Admirała.” „Co za *Morgan*?” — pytał dalej Montbars, którego pierwsza odpowiedź nie bardzo zaspokoila. „Czy ty żartujesz? — wykrzyknął Flibustjer — Czyż to nie znasz wielkiego Morgana, niepokonanego bochatera Brytannji, którego śmieie zwać można królem rozbójników morskich, któremu Puerto el Principe, Portobello, Marakaibo i Gibraltar nieśmiertelność zyskały”. „Muszę go poznać” — rzekł Montbars przerywając zaczęty panegiryk, wskoczył w łódkę stojącą u brzegu i popłynął do okrętu Admiralskiego. W kajucie *Horna* zastał wysokiego mężczyznę, którego widok równie przyciągał jak odpychał. Powaga i zimna obojętność panowała na czole, męstwo i chytrość błyszczała w dużem oku, na ustach widać było uśmiech, w którym jednak ukrywało się coś zdradliwego. Z zimną twarzą patrzył na Montbara którego mu *Horn* przedstawił. „Ciesz mi to — rzekł z powagą prawdziwie Xiążęcą — że łaska mojego Monarchy, posta-

wiła mnie w stanie nagrodzenia zasług tak wielkiego bohatera jakim był twój ojciec. Mianuję cię Kapitanem mojej floty. Miło ci zapewne będzie zostawać pod białą flagą, której nasz przyjaciel van *Horn* przywodzi. Mój Sekretarz wyda ci wkrótce Nominację." Montbars nie mógł pojąć tej mowy; widząc jego wstydliwość, zabrał głos van *Horn*: „Niewiesz zapewne młody kolego, że ten bochater mianowany jest przez Najjaśniejszego Króla Brytanji, Wielkim Admirałem floty przeciw Hiszpanom wyprawionej, z zupełną władzą mianowania officerów." Teraz dopiero pojął Montbars, że należy do uprawnionych rozbójników i w grzecznych wyrazach podziękował wielkiemu Admirałowi.

Zabłysnął poranek. Już w nocy odpłynął *Morgan* do Jamaiki gdzie flotta Angielskich Flibustjerów czekała na niego. Van *Horn* przedstawił nowego Kapitana całemu zgromadzeniu które go przyjęło radośnymi okrzykami. „Twój okręt jest mały — rzekł Admirał wskazując na statek który wcale nie miał prawa do nazwiska okrętu — ale Hiszpanie mają większe, a twoja rzecz zabrać im taki jaki ci się tylko podoba." Odszedł, a Montbars pospieszył do namiotu *Brodelego*, na pożegnanie z wujem. Tu zastał mocny oddział Bukańczyków w czerwonych mundurach dwoma długimi rzędami stojących. *Taurreau* uwijający się przed frontem, skoro ujrzał siostrzeńca wesoło zawołał na niego: „Przychodzisz

się żegnać zemną Kapitanie? Niepotrzeba tego, bo ja ciągnę z wami." Z podziwieniem spojrzął Montbars na starca, który tak rzekł dalej: „Niepojmujesz tej zmiany, muszę ci ją wytłumaczyć. Bóg mi jest świadkiem że miał nadzieję spokojnie siedzieć do śmierci na mojej wysepce, ale Hiszpanie mi nie dali. Niemogąc nas pokonać wygnębili dzikich byków z których jedynie utrzymywaliśmy się Ci mężni ludzie których tu widzisz są wszyscy z Hispanjoli. Niechcąc z głodu umierać, idę się spotkać ze swemi uciemieżycielami, a mnie obrali Dowódcą. Ciągniemy razem ku *Panama*." Po bratersku ścisnęli się obadwa. W tem z okrętu Admiralskiego zagrział pierwszy wystrzał dający znak do wyruszenia, Montbars pobiegł do portu, gdzie sternik Brodelego wracający z Hispanjoli, oddał mu list następujący:

Don Alonzo Jozef Jago Benalkazar Jego *Katolickiej Mości Króla Hiszpańskiego, naszego Pana, Gubernatora Hispanjoli i innych wysp okolicznych, Grand Hiszpański, Kawaler Złotego Runa, do rozbójnika morskiego Montbara. Wielkomyślność wrodzona Hiszpanom szanuje wcnotę wszędzie gdzie ją widzi, choćby nawet w Xiążęciu upadłych aniołów. Na Bajaha i Tortuga zachowałeś moje dzieci od śmierci i hańby, i wzgardziłeś wszelką nagrodą. Gdy jednak nieprzystoi ażeby szlachetny Hiszpan takiemu jak ty człowiekowi cośkolwiek winien pozostał, przeto zasetam ci*

niniejszem pismem słowo rycerskie, iż święcie dopełnię dwóch rzeczy o które prosić mnie będziesz byle się niesprzeciwiay Bogu i Królowi mojemu. Tymczasem modlę się do Świętego Jakóba, ażeby przez wzgląd na to coś domowi memu wyświadczył, skrócił Twoje zbrodnie prędką śnierzcią, żebyś choć po długiej pokucie mógł kiedyś ujrzeć Królestwo Niebieskie. Amen.

Jeszcze sam Montbars niewiedział, czy go to dziwne pismo ma cieszyć, czy gniewać, gdy rzucił okiem na brzeg listu i ujrzał piękną kobiecą rękę napisane te słowa.

„Na tym i tamtym świecie, będzie się za tobą modliła wdzięczna Marja.” Z uniesieniem przycisnął papier do ust swoich, gdy drugi wystrzał wezwał go na okręt. Flotta van *Horna* rozpuściła żagle, i brzemien na tysiącem klęsk, spiesznie ruszyła po spienionych walach.

Koło Jamaiki złączyli się Flibustjerowie Francuzczyz Angielskiemi. Cała flotta składała się 37. wojennych okrętów. Nie licząc majtków i innych posługaczów okrętowych, samych zbrojnych rozbójników było dwa tysiące. Na okręcie Wielkiego Admirała na którym powiewała Flaga Angielska, zebrano radę wojenną. Ze drzeniem przysięgł Montbars na wierność Królowi Angielskiemu, na posłuszeństwo dumnemu *Morganowi*. Jeszcze czterech Flibustjerów otrzymało godność Admirałów; między nimi znaj-

dował się także *Brodely*. Pod jego rozkazami walczyć miał *Taureau* i *Montbars*.

Brodely otrzymał rozkaz dostarczenia żywności dla całego wojska; rozpuścił żagle ku *Terra-Firma*, i jeszcze zupełnie słońce nie zaszło, gdy zdaleka spostrzeżono białą flagę. Natychmiast statek *Montbara* otrzymał rozkaz zbliżenia się do okrętu Admiralskiego, z kąd *Brodely* z zwyczajną zwierzotnością zawołał: „Kapitanie, widzisz tę Hiszpańską fregatę, ruszaj ją zdobyć, bo na twojej tratwie nie możesz dłużej z honorem pływać.” „Dobrze Admirale!” wykrzyknął *Montbars*, kazał zgromadzić swoich ludzi, i rzekł: „Jeżeli okręt Hiszpański podług wielkości dostatecznie jest osadzony, to może mieć na sobie 200 ludzi, nas jest 28. ale koniecznie potrzeba nam okrętu. Przysięgnijcież więc razem zemną zdobyć go lub umrzeć.” Z wesołymi okrzykiem przysięgli zbójcy. Wiatr był pomyślny, i gdy zupełna ciemność osiadła na morzu, przystąpili pod sam okręt nieprzyjacielski:

Zarzucono drabiny ze sznurów. Zaraz wiernej swej przysiędze kazał *Montbars* wywiercić dziury w własnym statku, tak iż ze wszystkiem zapadł się w morze prawie pod nogami śmiałyeh *Flibustjerów* którzy zbrojni w pałasze i pistolety, pięli się na okręt Hiszpański. Nim leniwe warty pobudziły spiących żołnierzy, już się rozpoczął bój zacięty, w którym pogarda śmierci wzięta gorę nad liczbę.

Rozsiekano wszystkich którzy tylko opierać się śmiali, reszta złożyła broń ze drżeniem. Montbars wszedł do Kajuty Kapitana który z oficerami swojemi jak najspokojniej grał w karty. „Przegraliście wszyscy — rzekł Montbars ze śmiechem — musicie zapłacić. Tymczasem na zastaw proszę o szpady.” „Czego chce ten szaleniec?” — krzyknął kapitan porywając się do oręża. „Szpad waszych” — odpowiedział Montbars i skoczył na nich z dobytym pałaszem; ale pośliznął się, padł na wznak, a najbliżej stojący oficer już mierzył w głowę jego śmiertelnym razem gdy śmiały młodzian zręcznie się uniósł, porwał swego przeciwnika, i przyciągając go ku sobie, łwią siłą złamał mu rękę nad łokciem. Jęcząc z bólu padł ranny koło niego wołając: „To zły duch nie człowiek.” „Prawda, to nie są ludzie — dodał przeżegnawszy się, Hiszpański podoficer króry z skrwawioną głowę wszedł do kajuty — Te czarty z powietrza na nas spadły, bo nigdzie nie widać okrętu na którymby przyłynęli. Dlatego złożyliśmy broń, i wam Panowie radziemy toż samo zrobić.

Zmiészani tém co widzieli i słyszeli, poddali się oficerowie śmiałemu Montbarowi, który im w kajucie pozwolił zostać, i zapytał jak się zowie zdobyty okręt. „Marja — odpowiedział Kapitan z Hiszpańską grzecznością oddając mu szpadę. — Jak ta szpada, tak i ten okręt niebył jeszcze przez nikogo wzięty. Winszuję ci więc Panie Kapitanie zwycię-

żenia szlachetnej Hiszpańskiej dziewicy." „Marja!
 — westchnął Montbars, i słodkie marzenia ożyły w
 jego sercu. — Oby ta pierwsza pomyślność była
 wróżbą szczęśliwszej przyszłości." To zwycięstwo
 otworzyło Flibustjerom ujście rzeki *la Hacha*, postę-
 pili dalej, uderzyli na twierdzę *la Rancheria* i wkrót-
 ce ręką Montbara osadzona, powiewała na jej mu-
 rach chorągiew Flibustjerów. Ale gdy zaczęto ra-
 bunek miasta, gdy się wszelkie okropności wojenne
 na nieszczęśliwych Hiszpanów wywarły, wtenczas
 dopiero, w sercu swoim, uczuł nieszczęśliwy młodzie-
 niec gorzki jad zgryzoty. Daremnie Morgan publi-
 czne mu oddawał pochwały, daremnie go uściskał
 w obliczu całego wojska, smutek nieustąpił już z jego
 czoła. Odszedł do swego okrętu, siadł przy sterze,
 a zwróciwszy oczy ku Hispanjoli powtarzał przejęty
 żalostí: „Nie, takiego anioła nie jestem godny."

(Dokończenie nastąpi.)

do Tygodnika Polskiego.

Rycerz ballada Niemiecka

Andantino.

z Muzyką Joz. Elsnera.

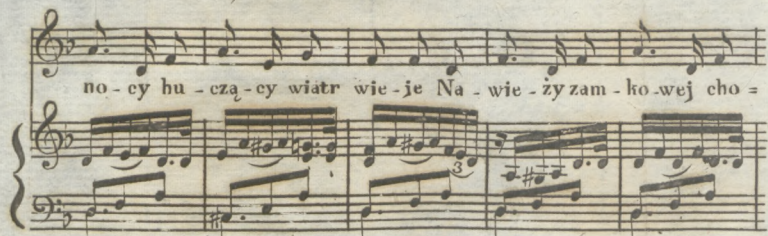
Spiew.

Fortepian

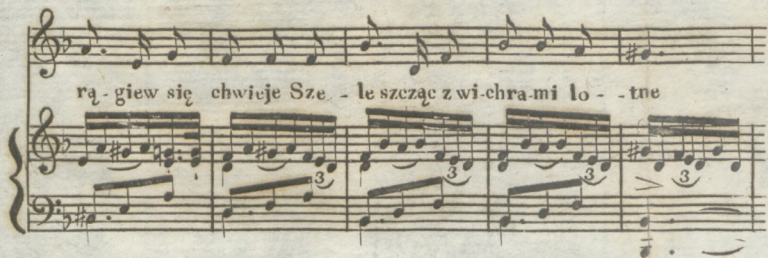
Zpo - nu - rej pół =



no - cy hu - czą - cy wiatr wie - je Na - wie - zym ko - wej cho =



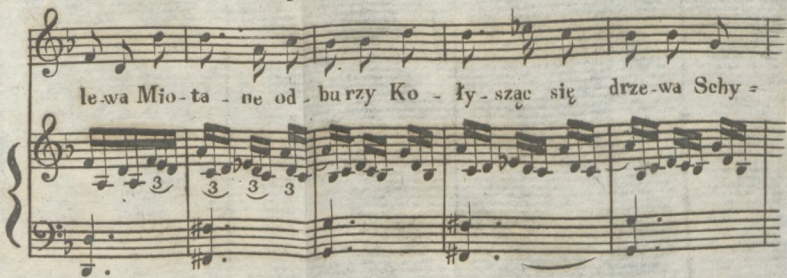
ra - giew się chwije Sze - le sząc z wi - chra mi lo - tne



mi Jak morskie bał - wa - ny tak szu - mi u =



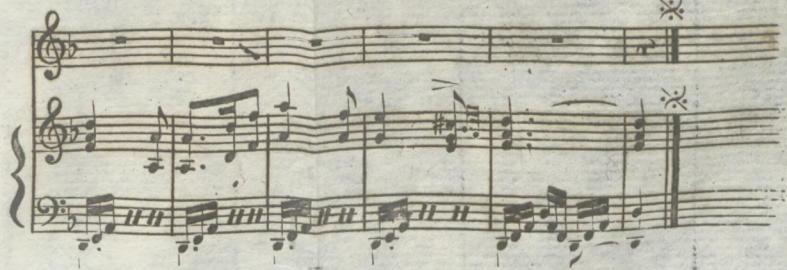

le - wa Mio - ta - ne od - burzy Ko - ły - sząc się drze - wa Schy =



la - ją wierz - chołki ku - zie - - - mi Schy - la - ją wierz =



choł - ki ku - zie - - - mi



to za Mi - ta - ne ob - pu - sty Ko - ly - xne sie - dze wa Gohy -

to - za Mi - ta - ne ob - pu - sty Ko - ly - xne sie - dze wa Gohy -

cho - ci - ni - mi

to Gypochulka, Wlokryta
Rycers Ballada Niemiecka
A. Schubert.
Klasyka, Los. Klatery.

Spiew.

Fortepian

Spow. na tej pol.

no - za Mi - ta - ne ob - pu - sty Ko - ly - xne sie - dze wa Gohy -

cho - ci - ni - mi

Do Tygodnika Polskiego

ELEGJA.

nad zgonem psa wściekłego

z Goldsmitha

Andantino.

Ná - rodzie chęiej łas - ka - - wie dać u - cha twe - mu

słudze ja dłu - go nie za - ba - - wię lecz i nie, dłu - go znudzę

Die Symphonie

ALLEGRO

Das zionische Gesangsstück

Allegretto

The first system of the musical score consists of two staves. The upper staff is a vocal line with a treble clef and a common time signature. It contains several measures of music with lyrics written below the notes. The lower staff is a piano accompaniment with a bass clef and a common time signature, featuring chords and melodic lines. The system concludes with a double bar line and a fermata.

The second system of the musical score also consists of two staves. The upper staff is a vocal line with a treble clef and a common time signature, continuing the melody and lyrics from the first system. The lower staff is a piano accompaniment with a bass clef and a common time signature, providing harmonic support. The system ends with a double bar line and a fermata.